Tom IX. Nr. 12.

21. Października 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 zlr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bitwa chocimska
i nabożeństwo kościelne na jej pamiątkę.

W niedzielę dnia 11 października odprawiło się w Zagajowie uroczyste nabożeństwo. Po kazaniu przemówił xiądz proboszcz w takie słowa do gromady:

— Dziś moi mili, taksamo jak tutaj odprawia się wszędzie wielkie nabożeństwo na pamiątkę sławnej bitwy, jaką Polacy wygrali pod Chocimem. Dawno to się stało, bo dziś już temu lat dwieście czterdzieści i dwa, a od tego czasu odprawia się za rozkazaniem Ojca świętego takie nabożeństwo corocznie. W onej bowiem bitwie obronili Polacy kościół katolicki i całe chrześcijaństwo od pogańskich Turków, i zasłużyli się wówczas bardzo. Otóż moi mili podziękujcie za tę łąskę Panu Bogu także dzisiaj, i pomódlcie się za dusze tych, którzy naonczas za wiarę świętą zginęli.

Potem skończył xiądz proboszcz nabożeństwo, a ludzie zaczęli gromadnie wychodzić z kościoła. Jaki taki spieszył do domu, ale bardzo wiele zostało jeszcze z ciekawości przed

kościołem, i jęli między sobą prowadzić rozgadkę. Otóż mówiono tam o różnych rzeczach, a także było dosyć gadania o owem nabożeństwie na pamiątkę bitwy Chocimskiej. Jeden i drugi kiwał na to głową, bąkał ni to ni owo, a żaden nie umiał rozpowiedzieć rzecz mądrze i dokumentnie.

— Już ja wam powiadam — rzecze Grzela Mądral — iż to pewnie dobrodziej mieli mówić o królu Janie Sobieskim, który kiedyścitam okrótnie poganisków wyłomotał.

— Baj, baju — zawołał Franek Gąska — oto się zmiarkował, a dyć król Jan Sobieski wybił Turków pod Wiedniem a nie pod Chocimem.

— A ja ci taki powiadam — huknął zapyrzony Grzela — iż także pod Chocimem bił poganów, i tak stoi wyraźnie wydrukowano w xiążce, bo ja sam czytał.

Powiedziawszy to, poprawił sobie Grzela pasa, i rękę założył, i takci się popatrzył na drugich nikiej bocian na wróble. Bo niedaremnie nazywa się Grzela Mądral; umie on nietylko czytać doskonale, ale i pisze także, więc ma honor w całej gromadzie za swoją naukę. Ale Franek także się rozjendyczył, i już coś chciał odpowiedzieć, kiedy nadszedł xiądz proboszcz z zakrystyi i zapytał:

— A o czem rozgadka moi mili?

Zaczną mu ludziska rozpowiadać, a xiądz proboszcz wysłuchawszy wszystkiego tak powie:

— Otóż moi kochani powiem wam, iż żaden z was niema racyi. Prawda to, co mówił Grześ, iż król Jan Trzeci pobił także poganów pod Chocimem, ale to nie było w ten dzień. Jeszcze wówczas król Jan nie żył, kiedy była owa bitwa, na której pamiątkę dziś się modliliśmy. Zaś abyście sobie wszystko dobrze zmiarkowali, rozpowiem wam dokumentnie całą sprawę.

Jest temu już lat dwieście czterdzieści i dwa, jak wam powiedziałem, a więc działo się wszystko w roku pańskim 1621, kiedyto panował w Polsce król Zygmunt Trzeci. Był także wówczas u Turków młody cesarz pogański Osman, któremu zachciało się koniecznie zawojować Polskę i zgubić chrześcijaństwo. Już tak parę lat była wojna, aż na on rok zebrała się największa

Widzieli Polacy, że to nie żarty, i że trzeba serdecznie się bronić, aby nie popaść w nieszczęście. Otóż co jeno było wojska w Polsce, wszystko wysłał król przeciw Turkom, a nawet własnego syna Władysława, który potem był także królem polskim. Poszło to wojsko aż do miasta Chocimia, które jest na Wołoszczyźnie. W mieście był zamek, więc się tam zamknęli Polacy, a było ich dosyć, bo coś siedemdziesiąt tysięcy. Zaś całem wojskiem dowodził stary i sławny hetman Karol Chodkiewicz.

W tem uderzyli Turcy, a była ich moc niezliczona, bo jak piszą więcej niż trzysta tysięcy. Jużci trudno było z nimi poradzić, a choć Polacy zaraz poszli do bitwy, i dzielnie się spisali, przecież musieli znowu zamknąć się w mieście, bo wszystkim od razu rady dać nie mogli. Było to jeszcze w sierpniu, a od tego czasu aż do października ciągle bili się Polacy z Turkami.

Na nieszczęście zachorował ciężko hetman i w końcu umarł. Obrano na jego miejsce drugiego, ale to już zawsze było z przykrością dla Polaków. Zaś im dłużej ciągnęła się wojna, tem gorzej też było z Polakami. Brakowało żywności i paszy dla koni, a naostatek zaczęło brakować prochu do strzelania, co już najsmutniejsza rzecz dla żołnierza. Już przy końcu września pewnego dnia uczynili Turcy okrótny szturm do Chocimia. Od rana do poźnego wieczora była bitwa, a Turcy tak okrótnie z armat strzelali, że ludzie głuchli. Ale i ten raz odegnali ich Polacy i zwyciężyli. Zaś wszystko na nic się nie przydało, i ani jednego dnia dłużej nie można było bronić się, bo została Polakom tylko jedna baryłka prochu.

Otóż na drugi dzień myślano posłać do cesarza tureckiego, aby uczynić pokój. Nie wiedział on nic o biedzie Polaków, ale myślał, że im bardzo dobrze jest i że mają dostatek wszystkiego, kiedy go tak dzielnie biją. Otóż po niedługiej rozgadce przystał on na pokój, bo widział że z Polakami nic nie wskóra, więc mu się odechciało zgubić chrześcijaństwo.

Otóż taka jest cała sprawa moi mili. Gdyby wówczas nie byli Polacy wytrzymali Turków, toby to pogaństwo i Polskę zdobyło, i Niemców by pobili, i całemu chrześcijaństwu byłoby

nieszczęście. Dlatego to była radość ogromna ze zwycięztwa, i Ojciec święty zaraz nakazał, aby 11 października obchodzono corocznie pamiątkę jego nabożeństwem.

Kiedy xiądz proboszcz skończył, ozwał się wnet Grześ Mądral:

— Proszę Jegomości, więc to pewnikiem nie stało się za króla Jana Trzeciego?

— Jużci że nie — odpowie xiądz proboszcz — i powiadam ci, że jego wtenczas nie było jeszcze na świecie, jeno ojciec jego Jakób Sobieski, który wiele bardzo pomógł, że ów spokój uczyniono z Turkami.

— Zaś proszę Jegomości — pytał Grześ dalej — a kiedyto król Jan Trzeci także pod Chocimem pobił Turków?

— To się stało znacznie poźniej — odpowie xiądz proboszcz — bo aż w kilkadziesiąt lat potem, i już całkiem inszego cesarza tureckiego pobił król Jan na tem samem miejscu, gdzie ojciec jego pierwej bił się z Turkami i obronił od nich Polskę i chrześcijaństwo. Rozpowiedziałbym wam i o tej drugiej bitwie dokładnie, ale teraz czasu mi już brakuje, bo muszę jechać do chorego z przenajświętszym sakramentem. Zaś kto ciekawy, niech przyjdzie do mnie po nieszporze, i rozpowiem wam.

— O przyjdziema, przyjdziema, proszę Jegomości — wołali wszyscy.

— Więc zostańcie mi z Bogiem moi mili — odpowie xiądz proboszcz, i poszedł prędko do domu. Ludziska rozchodzili się także powoli, a Grześ z Frankiem już całkiem po przyjaźni rozmawiali o bitwie chocimskiej.

Szkoła wiejska.

1.

Na końcu naszej wioski stała się nowina;
Starzy nie wiedzą, płakać czy śmiać się należy;
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,
Jeszcze berwion sosnowych nie przykrył tynk świeży,

Jeszcze okna nie wbite złożone pod ścianą.
A już wniesiono ławki, coś nakształt kościoła,
Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano,
Tu będzie szkoła!. .

2.

A może to i dobra, może zła nowina,
Każą chłopców posyłać tam do tego czarta,
Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
To niech sobie i chodzą, rzecz kłótni nie warta.

3.

Sprowadzili jakiegoś jegomościa z miasta,
Broda mu jak miotełka żółtawa wyrasta,
Chodzi w krótkim kożuchu, kapeluszu dużym,
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
Pan — nie pan, bo nie hardy; chłop — nie chłop, bo czyta;
Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta;
Pójdzie czasem do xiędza, a czasem do dwora,
A z ludźmi by gawędził z rana do wieczora;
Najął chatę u chłopa, je co pan Bóg zdarzy,
I pędzi do roboty mularzy i szklarzy,
Sam pomaga w robocie choć mało co zna się;
Chce szkolę w jak najprędszym wybudować czasie.

4.

Pobudowano szkołę, xiądz w komżę ubrany
Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jej ściany,
Ponapędzano chłopców, z nimi starsi przyśli,
I xiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:
O jutrzni, która kiedyś nad ziemią zaświeci,
O świętym Kalasancie co sam uczył dzieci;
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada.
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
„Przyjdź Duchu Przynajświętszy! a ty ucz się dziatwo!“

Władysław Syrokomla.

Trumna złego człowieka.

Przed laty, w parafii Błogie zagnieździło się złodziejstwo. Czterech tam było kolonistów i kowal, na których miano porozumienie, a nawet i pewne oznaki; ale chociaż tu i owdzie

za wyprowadzoną krówkę, konia, wołu lub zboże ze stodoły albo z komory, były narzekania, płacz i złorzeczenia, nikt jednak krzywdy swojej nie poszukiwał u żadnego z pięciu złych ludzi. Jeden na Boga zdawał krzywdę, inni milczeli z bojaźni, aby się na nim nie mścili złodzieje. Nikt pierwszy nie chciał w oczy spojrzeć złym ludziom, tylko w cichości sobie imiona szkodliwych sąsiadów podawali, od nich stronili i palcem ich wytykali, tak, że najmniejszy dzieciak wiedział ich nazwiska, a starsze dzieci umiały ich poznać pomiędzy wieloma.

Wszystko bo też przekonywało, że to są źli ludzie. Mieszkali blisko siebie, a nieraz o północy świeciło się u nich i tylko sami wyprawiali sobie w tak poźnej porze pohulanki. Do kościoła nie chodzili, na rodziców chrzestnych nikogo z ich domu nie proszono, jeno sami sobie kumowali. Po odpustach nie ujrzałeś z nich żadnego, a organista mówił, że xiądz proboszcz dużo miewa kłopotu z nimi, gdy przyjdzie wielkanocna spowiedź, i że najczęściej biorą kartki pozwolenia do innego kościoła klasztornego. Na zarobek nigdy nie chodzili; konie i woły swoje tak często przemieniali jakby handlarze jacy. Zawsześ ich zobaczył w mieście Piotrkowie, niby jakieś handle prowadzących. A chociaż często lichy z pola sprzęt mieli, nie na czasie zasiali, nie na czasie zebrali, to jakoś nie ubogo koło nich było. A o kowalu to jeszcze dodać można, że o robotę nie stał, a kuźnia często była zamkniętą.

Ale coraz więcej i częściej pobijały ich łzy pokrzywdzonych przed Bogiem, a ludzie przepowiadali dla nich srogie ukaranie. Co ludzie gadają, to i wygadają, bo Bóg często dla przykładu innych za grzechy i krzywdy wyrządzone bliźnim, nie tylko w przyszłem, ale i w tem życiu karze.

Na rządową dzierżawę w Błogiem nastał pan dobry, dzielny, dawny wojskowy polski. Gdy się dowiedział jakie to złe w jego gminie szerzy się, zaraz kilka kradzieży wyśledził, i jako wójt gminy pod sąd oddał sprawców, i takim sposobem cokolwiek złodziejstwo zmniejszył. Najwięksi jednak herszci, ze złodziejstwa zamożni, w wybiegi wprawni, zawsze się umieli wyśliznąć z rąk sprawiedliwości sądowej. Utyskiwała okolica

cała, zżymał się dzierżawca, ale nie mając nic dowodnego, do czasu odkładał ich skarcenie, baczne oko mając na wskazanych mu pięciu, na ich postępki i ruch każdy. Lecz kara nie ztąd na nich padła zkąd się jej obawiali złodzieje, nie od tego co im skarcenie obiecał, i nie w taki sposób, aby się od niej wykupić lub też jej uniknąć mogli.

Ostatnią kradzież popełnili u biednej wdowy Pawłowej komornicy, uprowadzając jej krowę, która była całem majątkiem dla jej dwojga dzieci. Biedna Pawłowa, nie mogąc się ani dopytać, ani odszukać krowiny swojej, zalana łzami poszła do kościoła i Bogu łzy swoje sieroce i nędzę złożyła. Trafiła na mszę świętą, krzyżem przez całą przeleżała, a po mszy świętej proboszcz o jej smutku się dowiedział i pocieszał strapioną.

Łzy biednej wdowy i sierot dopełniły miary złego pięciu złodziei i wkrótce potem prawie nagłą śmiercią, bo po kilkodniowem konaniu, jeden z nich umarł.

Nazajutrz po skonaniu, na wołach przywieźli zmarłego przed kościół. Dwie kobiety: żona zmarłego i krewna i dwóch sąsiadów, weszło do mieszkania proboszcza, a oznajmując śmierć z imienia i nazwiska, zażądali sutego na jutro pogrzebu, a dziś wprowadzenia do kościoła, i nie pytając ileby proboszcz za pogrzeb zażądał, wyliczyli na stół 100 złp.

Proboszcz wszystko wymiarkował, a pomyśliwszy chwilkę, napisał list do dzierżawcy i jednego z przybyłych z listem posłał, a pozostałym kazał się zatrzymać.

Dzierżawca te wyrazy czytał w liście: „Jeden z pięcin głównych złodziei umarł. Mam go niedługo na cmentarz odesłać dla pochowania; proszę pana, abyś rozkazał stawić się do mnie zaraz czterem towarzyszom zmarłego, gdyż pogrzeb tak szkodliwego człowieka w parafii powinien być uroczysty, i trzeba aby jego kamraci na pogrzebie byli.“

Był wówczas proboszczem w Błogiem xiądz Marszulewicz, znany z dobrego humoru i rozmaitych pomysłów dziwnych; więc spodziewał się dzierżawca jakiegoś dziwnego pogrzebu, i zaraz wysłał polecenie do sołtysa, aby rozkazał stawić się czterem żądanym gospodarzom do proboszcza, i aby tego dopilnował.

Pogrzeb jednego z pięciu szkodliwych we wsi i wieść, że sołtys nakazuje jego towarzyszom, aby się stawili na plebanią, tak zaciekawiła wszystkich, że wkrótce nie tylko owi czterej poszli do proboszcza, ale prawie cała wieś zeszła się na cmentarz kościelny, ciekawi co to będzie, bo przeczuwali coś niezwykłego.

Proboszcz widząc wszystko po myśli swojej, spisał akt zejścia, poszedł do kościoła, ubrał się w zakrystyi w komżę, stułę, kapę i biret; organista poniósł za księdzem kropidło i kociołek ze święconą wodą, a wyszedłszy wielkiemi drzwiami stanął nad trumną zmarłego. Obok trumny kazał stanąć czterem towarzyszom nieboszczyka, a mając lud ciekawy około siebie, zmierzył wszystkich bystrym wzrokiem, zatrzymał go na trumnie i ukazując na nią ręką, w te odezwał się słowa:

„Mizerny człowiecze! Całe życie głuchym byłeś jako i teraz na moje przestrogi, na swoje sumienie i na przykazania Boże, całe też życie twoje było niepewne i błędne. Parafianie palcem cię wytykali, lękali się ciebie, a wiele łez z twojej przyczyny wyleli pokrzywdzeni. Nie ma też teraz kto nad tobą zapłakać. Raduje się okolica, że ubył jeden szkodliwy człowiek, i raduje się piekło ze swej ofiary, bo wszyscy co są tu obecni, nie z nabożeństwa się tu zeszli, ale z ciekawości.“ Spojrzał po gromadzie proboszcz i dalej mówił: „Ale pocóż ja się ubrałem w szaty kościelne do takiego zbrodniarza? Byłoby to skalaniem stroju kościelnego, więc je zdejmę.“ I zdjął z siebie biret, kapę, stułę i komżę. Wziął kropidło w rękę, a podniosłszy nad trumną powiedział: „Mamże cię święconą wodą pokropić? a tobym poparzył szatanów co twojego ciała strzegą. Nie żegnałeś się za życia święconą wodą, i teraz ci ona nie pomoże!“ Oddał kropidło organiście nie kropiąc trumny. Wziął spory głaz w rękę i mówił: „Oto kamieniem przycisnę wieko trumny twojej, zamiast piasku i święconej wody, bo sumienie twoje i serce twoje było jak kamień za życia. Nie słuchałeś dzwonów za życia, odmawiam ci i teraz dzwonienia. Nie chodziłeś do kościoła, więc i teraz kościół przed tobą zamykam. (I drzwi kościelne zamknięto.) Wszystko może jest cudze coś za życia zebrał, cudzą własność szarpałeś, na ludzki dobytek

godziłeś, więc wyprzążcie woły z woza, co go przed drzwi kościelne przywiozły, na cmentarz go nie powiozą.“ I skinął na czterech towarzyszów zmarłego, a oni leniwo, ale dopełnili rozkazu. Ksiądz zaś prowadził rzecz dalej: „I wóz, na którym przywieziono trumnę nie był może z jego pracy, może go z obcego drzewa i z cudzą krzywdą sprawił: zdejmcie więc tę trumnę z woza.“ I znowu wskazał na towarzyszów, co jak trupy wybledli i zsinieli stali, niespodziewając się takiego kazania, a oni znów usłuchali i zestawili trumnę z woza na ziemię. Proboszcz jeszcze mówił: „Sto złotych któreście na pogrzeb u mnie złożyli, odbierzcie, wynagrodźcie temi pieniądzmi krzywdy, jakie nieboszczyk wyrządził. Oddajcie to co wdowom pozabierał, co gospodarzom pokradł, co panom pobrał. Należało to jeszcze za życia zrobić, za życia z Bogiem się pojednać i oddać co do kogo należało. Lżejszą miałby śmierć, szczęśliwsze życie przyszłe, i nie stałby przed Bogiem w szacie złoczyńcy i wydziercy cudzej własności.“ I jeszcze coś xiądz prawił, ale jużem tego nie słyszał, gdyż żona nieboszczyka skostniała, a od sromu i żalu płakać i mówić nie mogąc, padła jak długa i zemdlała....

Ruszyli na ratunek zemdlałej poczciwi ludziska. A proboszcz tymczasem kazał wziąć na barki czterem towarzyszom trumnę i zanieść na cmentarz. Błoto było wielkie, cmentarz daleko w polu, a jeden tylko dziadek szedł za trumną, aby wskazać miejsce w niepoświęconej ziemi, na pogrzebanie ciała.

Okrutne to wrażenie zrobiło na wszystkich. Z pół roku o niczem nie gadano, jeno o tem: jak nieboszczyk umierał, jak go pilnowali towarzysze, aby nie zażądał xiędza, albo wójta gminy i aby nie powydawał kradzieży; jak mu śmierć przyspieszyli, bo pono w szaleństwie wszystkie sprawki wywoływał; jak wołał że przy nim moc szatanów i prosił aby ich wypędzono; jak przeklinał dzień swego urodzenia, matkę, ojca, że go nie karcili i że on przez nich tak cierpi.

I tysiączne inne jeszcze wywodzono gadki o tem, a z tego dla wszystkich była taka nauka, że ciężko grzesznikowi ze śmiercią, i że lepsze ubóstwo z cnotą, niż bogactwo z krzywdą ludzką.

O towarzyszach powiadano, iż dwóch zaraz się w inne okolice przenieśli, i tam pono złodziejki zaprzestali. Jeden znów zaraz był wzięty do kryminału, bo go jakiś jego spólnik wydał w sądzie i tam umarł. Ostatni po śmierci żony swojej sprzedał wszystko co miał, prócz jednej krowy, którą biednej Pawłowej komornicy darował, pieniądze rozpożyczył, porozdawał, a sam od chałupy do chałupy chodząc, pomagał w robocie, i za to miał przytułek i pożywienie, bo więcej nie żądał. Nie lubiał on opowiadać dawnych zdarzeń, ani odpowiadał jak go ci i co różne powiastki o nim słyszeli, z ciekawością pytali, ale młodszych upominał, aby byli rzetelni, pracowici, uczciwi, pobożni, na cudze grunta i cudze majątki nie łakomili się, a krzywdy nikomu nie robili. Karcił też i rodziców gdy widział jakie pobłażanie, a często bardzo powtarzał:

Od łyczka do rzemyczka,
Od rzemyczka do koniczka,
Od koniczka szubieniczka.

Temu pogrzebowi cała okolica zawdzięcza, iż się źli ludzie upamiętali, a w parafii całej, a szczególnie we wsi samej Błogie, kwitnie dziś uczciwość, rzetelność i pobożność.

Cz. N.

Rady gospodarskie.

O zimowaniu bydła.

Teraz w jesieni najwięcej jarmarków na bydło i najwięcej go też sprzedają ludziska. Smutna to rzecz, i niejeden gorzko się spłacze, zanim wyprowadzi bydlątka na targ. Toć to nieraz cały majątek człowieka; wołem obrabiasz pole i zarabiasz nim jeszcze nie mało, a już krowa, to jakby druga matka w gospodarstwie. I dzieci i starzy mają z niej nieraz całe pożywienie, a gdzie jest krowa dobra, tam już przynajmniej śmierci z głodu nie będzie. Jeszcze kiedy człek sam wyhodował takie bydlę od cielęcia, kiedy się do niego przyzwyczaił, to sprzedawanie takie bywa przykre jakby pogrzeb jaki. A dlaczegoż

sprzedawać koniecznie? Jużci nie dla innej racyi, jeno dla trudności zimowania.

Kto ta nie nasłuchał się dosyć o kłopotach zimowania. Także nie fraszka to porachować jeno, jak długo trzeba wykarmiać bydło bez paszy. A toć już najdalej we dwie niedziele po Wszystkich Świętych idzie bydło do stajni; do Bożego Narodzenia jest niedziel sześć, a od Bożego Narodzenia do Gromnicznej drugie sześć. Znowu od Gromnic do Popielca także jakiś tydzień, a potem postu niedziel siedem, a od Wielkanocy do Wojciecha zejdzie się także nieraz tydzień. Więc takci razem wszystkiego niedziel dobrych dwadzieścia i cztery, a to czyni dni sto sześćdziesiąt i ośm, a każdego dnia trzeba dać bydlęciu zjeść i to dobrze, bo jak się zamizeruje, więc i wszystko na nic. O dla Boga moi mili! a któż ta temu wystarczy, a toć nie tylko ziarna niema, ale i słomy gołej nie wystanie, i sukmanę zjadłyby na końcu. Toć lepiej sprzedać jedno albo i drugie, no a kiedyś ta się znowu co przykupi wedle okazyi, i grosz zdałby się teraz bez gadania.

Tak to rozprawia niejeden, i prowadzi na targ bydlę, zmarnuje go a pieniądze także i jak nadejdzie lepsza okazya przychowku, to już niema ani bydlęcia ani pieniędzy.

Tymczasem na wszystko są sposoby, a skoro człek zechce, to wnet poradzi sobie dobrze i uchroni się od szkody. Stało się tak Grzegorzowi, który mi opowiadał o sobie w ten sens.

Wiecie dobrze iż mój dobry kum i przyjaciel Paweł kocha się bardzo w bydełku, i na milę w około znają go, iż je umie pięknie chować i nawet przy złym urodzaju paszy dostatnio zimować, a masło i sery jego żona tak czyściutko i sprawnie robi, iż na targu w mieście z rąk ludzie sobie wyrywają. Otóż jednego roku, kiedym właśnie wedle Matki Boskiej Gromnicznej obejrzał stodołę, widzę że na żaden sposób nie dociągnę do nowego. Że lepiej zawsze przykupić coś wcześniej jak czekać przednowku, wziąłem więc kilkadziesiąt złotych w kieszeń i poszedłem do Pawła, bo byłem pewny, że jeżeli ma co na zbyciu, to mi sprzeda taniej jak drudzy.

Kiedyśmy się powitali, i gdym mu opowiedział co mam na sercu, tedy on wypytywał, wiele mam słomy a wiele siana,

i powiedział na koniec: Mój bracie, nie sprzedam ci choćbym mógł sprzedać, bo tem co masz obejdziesz się do wiosny.

— A to jakim sposobem? — zapytałem.

— A to rób tak, jak my robimy — odpowiedział Paweł.

Na to nadeszła Pawłowa i powie mi:

— Chodźcie kumeczku a ja was nauczę i pokażę, jak się to przyprawia pasza dla naszych pięciu krówek i trzech jałowic. Oto widzicie kumie, mam trzy beczki z kapusty, prawdziwe winówki, każda z wiekiem. Parobek urznie drobno sieczki z czterech snopków słomy ozimej, do tego jeden snopek słomy jarej albo grochowianki, i garść siana dla zapachu. To wszystko wymiesza się dobrze, a potem sypię tej sieczki na piędź grubo w beczkę, polewam wodą zimną miejsce wedle miejsca, i ubijam ciężkim fasulcem, zaś wodą tak długo kropię, póki się nad sieczką nie zaświeci. Kiedy się już pokaże, sypię znowu sieczki na piędź wysoko, i taksamo ciągle polewam i ubijam, aż się cała beczka zapełni. Kiedy już ostatnia warstwa u wierzchu dobrze jest ubita i woda się nad sieczką ukazała, to trzeba nakryć wiekiem i przyłożyć kamieniem. Tak stoi przez trzy dni, a potem daje się bydłu cebrzykiem. Krowy jedzą tak ochotnie jak największy specyał; od sieczki rozchodzi się zapach wina, a siano czuć jakby gotowane. Powiadała dalej Pawłowa, iż codzień jedną beczkę zaparza i codzień jedną spasza. Co wieczór, jak bydło zje, każe dziewce wymyć beczkę z sieczki czyściuteńko, przechylić na bok tak, aby ściekła i wyschła a nie skwaśniała.

Dalej jeszcze mówiła Pawłowa:

— Tak kumie karmiemy co rok nasze bydełko, i tą słomą, co krowy w sieczce zaparzonej zjedzą, tobyśmy nie utrzymali ani troje bydląt przez zimę, i mleka nie miałabym pewnikiem tyle co teraz. A przecież przez cały mięsopust siedmioro ludzi je z mlekiem, i nie mało jeszcze sprzedaje się. Pasząc tak krowy, już im nie daję słomy, jeno dwa razy na dzień po kłaczku. Na rano do dojenia daję po cebrzyku dwugarncowym na krowę. Tak samo w południe i na wieczór, zaś na trzy jałowice po dwa cebrzyki na raz. W godzinę daję na wszystkie ośm sztuk sporą wiązkę słomy i poję. Potem w południe znow sieczkę z słomą, a na wieczór także taksamo.

— A siana nic nie dajecie? zapytał Pawłowej.

— Tak jest, to się daje — odpowie ona — a jak się go zabraknie albo drogie, żeby kupienie dużo kosztowało, więc dajemy otręby, albo nieco pośladów zmielonych, albo też makuchów czy buraków trochę, to się tym potrząsa sieczkę dla omasty w cebrzyku. Otręb daje kwartę na krowę a pośladków jeszcze mniej, zaś buraków albo ziemniaków pół garnca na jednę.

Podziękowałem dobrym ludziskom za radę przyjacielską, i już cztery lata zimuję tak bydło, a zawsze mi wystarczy i jeszcze zostanie, kiedy dawniej prawie nigdy nie mogłem dosiągnąć do zielonego. Zaś na paszonej sieczce wygląda bydełko bardzo piękne i aż się połyskuje i mleka więcej daje, niż kiedym je po dawnemu żywił.

Teraz jeszcze moi mili podam wam sposób zimowania jednej tylko krowy. Jużci tam gdzie jest kilkoro bydląt, to i łatwo parzyć sieczkę; ale kto ma tylko jedną krowinę, kto niema trzech beczek od razu ani nawet miejsca gdzie postawić, ten musi szukać inszego sposobu. Otóż tacy tak mają czynić.

Bierze się zawsze dobrą garść siana, którego jest funt najmniej, kładzie do garnka, nalewa wrzącą wodą i przykrywa deszczułką. Potem sypie do cebrzyka dwa garnce sieczki i na nią nalewa wnet ową wodę wrzącą ze sianem, więc sieczka nabierze zaraz zapachu siana. Kiedy to wychłódnie, należy dosypać parę garści oskrobin od ziemniaków i dać krowie. Krowy jedzą to tak ochotnie, że aż patrzyć miło. Jużci na takiej paszy nie daje krowa zbyt wiele mleka, ale się przynajmniej nie zabiedzi przez zimę.

Oprócz tego daje się krowie dwa razy na dzień po trochu słomy. Jeżeli otręby tanie, to sieczka parzona z sianem, a omaszczona otrębami i oskrobinami ze ziemniaków tak służy krowie, że przez całą zimę daje dużo mleka, i można od niej co tydzień garnuszek masła i parę serków na targ wynieść.

Jak się z jabłek robi napitek?

Daleko i szeroko potrzebaby szukać, żeby znaleźć tak rządnego gospodarza, jak jest Marcin Grzezułka. Ma ci on też rojne ule jak się patrzy, inwentarz nie ladajaki, stajnie i

stodoły szykownie pobudowane, a jakie znowu ciągną się sady koło jego chaty, to aż się dusza raduje Bo też Marcin sam wszystkiego dogląda, czyta xiążki gospodarskie i radzi każdemu co i kiedy ma zrobić, boć on dobrze pamięta przysłowie nasze: Gdy nie dojrzysz okiem, to dołożysz workiem.

Jużcić tam i żona jego Maryna dopomaga mu nie w jednem, rządzi domem i sługami, ale co już Marcin, to ma wszystko na głowie.

Owoż idzie mu też wszystko jak po mydle. Każdą rzecz umie sobie na użytek obrócić, mało co straci, a dobytek mnoży się i mnoży dla Wicusia i Jakóbka, bo tylko dwoje ma dzieci.

Dwa tygodnie ledwie temu jak byłem u niego w sadzie, a prawie wtenczas obierali tam kwaśne jabłka.

— I gdzież wy też to podziejecie tyle jabłek — powiadam do Marcina, boć prawie jak świat światem nie potraficie wszystkich spotrzebować i mogą wam pognić pewnikiem.

— Ej nie pletlibyście lepiej takich bredni, mój Józefie! — powie Marcin — czy myślicie że ja nie mam głowy na karku? Dobry gospodarz wszystko powinien umieć spotrzebować, żeby się i odrobina nie zepsuła.

— A to pewnie będziecie je suszyć — gadam znowu do niego — a resztę sprzedacie może komu z miasta?

— Sprzedać to tam i mało sprzedam — odpowiedział — boć przecie ludzi dosyć mam w domu, wolę oto co nieco ususzyć, a ostatki to znowu obrócę na swoją wygodę.

— A jakto — przemówię ja — przechowacie je w świeżości przez całą zimę czy co?

— Nie mój Józefie — powie Marcin na to — zrobię sobie z nich dobry napitek, który się w domu bardzo przyda na zimę.

— A nauczcież mię drogi Marcinie — jąłem go prosić — jak się też to robi ten napitek.

A Marcin gada:

— Nie wielkie ci się z tem robi ceregiele; owoż bierze się tylko dojrzałych jabłek dobrego winnego gatunku trzy razy tyle ile słodkich; tak n. p. jeźli słodkich się weźmie dwa garnce, to kwaśnych sześć garncy — i wszystko się w całości tłucze doskonale w stępie, a potem tę miazgę daje się

do prasy i wyciska się sok do iskierki. Potrzeba zaraz podstawić pod prasę baryłkę z wina, z lejkiem do niej włożonym, ażeby sok mógł wygodnie ściekać do baryłki.

— A cóż się dalej robi? — zagadałem niecierpliwie.

— Ano gdy baryłka postoi w piwnicy z dobry miesiąc — prawił Marcin — a sok się już dobrze ustoi, zlewa się go we flaszki, które trzeba mocno zakorkować i oblać smołą, i stawia się je w piwnicy w jakiem dobrem miejscu, najlepiej zaś w piasku. Jak po kilku miesiącach otworzysz flaszkę, to ci to dopiero napitek kordyalny. I moc ma w sobie i smak przyjemny, że to kiep wino najlepsze przy nim.

Ale muszę wam i to powiedzić, że i z gruszek można robić doskonały napój tym samym sposobem.

— A to ciekawa rzecz wiedzieć o tem — rzeknę ja do Marcina — a kiedyście mi już o napitku powiedzieli, powiedzcie mi także jak wy też suszycie owoce?

A Marcin odpowie:

— To już wiecie Józefie, bo widziałem jak wasza babina to robiła, ale ja ze swojej strony muszę to powiedzić, że owoców nie trzeba do krzty w gorącym suszyć piecu, jeno po trochu ogrzewać i ostudzać, ponieważ przez to nie przypali się żadna gruszka ani jabłko i owszem jeszcze bardzo kwaśne nabiera smaku; a gdy się niby z kretesem wysuszy, to trzeba jeszcze rozłożyć owoce na świeżem powietrzu, więc dobrze także i na strychu, a po tygodniu należy je chować w suchem miejscu — toć takich suszek nie odjesz się człeku nigdy w życiu.

— A widzę że gospodarz z was nie lada — powiem Marcinowi — toć zazdroszczę wam waszego rozumu.

— Nie potrzeba zazdrościć — zawoła Marcin — bo jeśli każdy gospodarz będzie czytał gazety i xiążki, albo będzie słuchał co w nich stoi napisano, to nabierze niezawodnie rozumu, zkąd i ja nabrałem. I o sady powinien się każdy postarać, boć do tego nie dużego trzeba zachodu, a można mieć i grosik za owoc nie mały, zdrowy pokarm dla siebie i ludzi i wszelkie wygody w jesieni i na zimę. A czyż to nie dobra rzecz gdy drzewa od wiatru i ognia chronią budynki?

Ale ja widzę że gospodarze mało o to dbają, dlatego też jadąc przez niektóre miejsca, to aż oczy bolą, bo same pola i pola, a drzewiny niema ani na lekarstwo, a więc skarzą się na niedostatek, którvby pewnie zginął, gdyby posłuchali lepszych gospodarzy i sadzili drzewa owocowe.

— A to prawdę gadacie — powiedziałem i pożegnałem się z Marcinem Zaś teraz naszą rozmowę podaję dla was gospodarze na naukę i zachęcenie.

Józef z Bochni

RÓŻNOŚCI.

Pożary. W tych czasach było znowu mnóstwo pożarów, a między niemi takie:

Dnia 10 października wieczorem powstał ogień w stodole gospodarza Pawla T. w Radości, w obwodzie sanockim, i zniszczył dwom gospodarzom wszystkie budynki i wszystko zboże. Szkody jest na 829 reńskich a zdaje się że wszystkiemu winna była nieostrożność.

Zaś jeszcze 1 października powstał pożar przez nieostrożność w Malczycach w obwodzie lwowskim, i zniszczył pięć domów gospodarskich z całym dobytkiem. Szkody jest na 5300 reńskich.

Także w Kozłowie w obwodzie brzeżańskim był pożar dnia 5. Ogień zaczął się w stajni gospodarza jednego, i w krótkim czasie zgorzało 9 domów ze wszystkiemi budynkami i z caluteńkim dobytkiem. Szkody jest na 9400 reńskich, a jeden gospodarz przy ratowaniu swoich rzeczy został mocno pokaleczony.

Znowu dnia 7 października było aż dwa pożarów w obwodzie czortkowskim, i dotąd nie wiedzieć przyczyny. Pierwszy pożar był w Howiłowie małym, gdzie powstał ogień w domu gospodarza Andrucha J. i zniszczył dwa gospodarstwa z dobytkiem. Szkody w samem zbożu jest na 800 reńskich. Drugi pożar był we wsi Chorostkowie, gdzie zapalila się stodoła gospodarza Mikołaja D, i zgorzało całe gospodarstwo ze wszystkiem, i jest tam szkody na 536 reńskich.

Naostatek tegoż dnia był ogień w Żerebkach szlacheckich w obwodzie tarnopolskim, gdzie pogorzało 11 gospodarzy do szczętu. Tu już był winien chłopiec mały, głupkowaty od urodzenia, który przez nieostrożność sprowadził nieszczęście.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**